

BLUSZCZ

PISMO TYGODNIOWE.

Nr 3.

Rok 1922. WARSZAWA, 14 Stycznia

Rok LV

Adm. „Bluszczu” przeniesioną została do pałacu Staszycy
Nowy-Świat 72, Koło Polek, tel. 239-40.

WARSZAWA - WILNO.

W tych dniach rozstrzygają się losy Wilna.

Na zegarach prastarego miasta wydzwania jeszcze jedna godzina dziejowa, ważka i dźwięczna, jak spiż. Padają głosy na szalę. Do wrót Polski, jak do wrót „Arki Przymierza między dawnymi a nowymi laty”, biją echa z głębi puszcz odwiecznych, od pobojozisk i żalników „Litwy świętej”, od kolebki bohaterów i królów, wieszczów i męczenników zbratanej nierozzerwalnymi węzłami Litwy i Korony.

Nie będziemy tu przytaczać motywów historycznych, nie siłimy się na rozwijanie takiego lub innego programu politycznego.

„Czucie i wiara silniej mówi do mnie niż mędrca szkiełko i oko”.

Dusza kobięca kroczy wytrwale po linii serca i na tej drodze wierzeń i umiowań znajduje nieomyślnie rozwiązanie najzawilszych nawet problemów.

Jakikolwiek będzie wynik głosowania, wierzymy i czujemy niezłomnie, że Wilno było, jest i będzie polskie.

Pierścionek ślubny Jadwigi musi rozbfysnąć jak słońce na czystym niebie Polski zjednoczonej.

REDAKCJA.

PANI DE VALERA.

Zamiast zwykłego suchego i nudnego artykułu politycznego, szanownym czytelnikom „Bluszczu” pragnę tym razem przedstawić bardziej może zajmującą sylwetkę osoby, której nazwisko męzowskie nadaje wprawdzie niejako „blasku” politycznego, która wszakże sama działalności politycznej nie rozwija żadnej.

Dlaczego tedy pisać o niej?

Po pierwsze, dlatego potrochu, żeby zaspokoić tę odwieczną, a niewinną w końcu, właściwość psychologiczną, na mocy której ludzie wogóle, a kobiety w szczególności, interesują się gorąco, acz pocichu i mniej lub więcej skrycie wybrankami serca ludzi wybitnych, do rzędu których bezsprzecznie

należy „prezydent republiki irlandzkiej”. Powtóre, dlatego głównie, że pani De Valera nie jest tylko, — jak to często niestety, w takich wypadkach bywa, — takim sobie świetnym pozornie, a ciemnym w istocie księżycem, na który blask bije wyłącznie ze słońca, wokół którego on krąży, — ale że jestto, przeciwnie, gwiazdka także, wprawdzie nie pierwszej i nie drugiej nawet wielkości, ale w każdym razie gwiazdka, która także sama świeci... Jednym słowem, żeby skończyć z tą psychologiczną astronomią, pani de Valera odegrała swoją skromną, ale samoistną rolę w dziejach netyle politycznego, ile narodowo-kulturalnego odrodzenia Irlandji.

Gdy wszakże dziennikarka amerykańska, p. Doris Stevens, z której sprawozdania w „Chicago Tribune” te wiadomości czerpiemy, przybyła do Irlandji, celem odbycia szeregu interview, okazało się niabawem, że o wiele łatwiej dotrzeć jest do pana prezydenta, niż do pani prezydentowej.

— Żona moja nikomu nie udziela wywiadów — oświadczył sławny leader irlandzki pani Stevens. — Mnie by nigdy nie przebaczyła, gdybym to pani ułatwił. Może zresztą pani się uda, choć nikomu nie udało się dotąd. A próbowało wielu.

Zrozumiałam — dodała w tem miejscu przenikliwa amerykanka — że p. de Valera za nic nie konspirowałby ze mną w mojem

przedsięwzięciu dotarcia do jego żony, że jednak wcale nie byłoby od tego, żeby mi się „udało“.

Tymczasem, z kimkolwiek zaczynała mówić o pani de Valera, zewsząd rozlegał się chór pochwał.

— Jestto osoba miła i nawet czarująca—oświadczały panie. „Jestto piękna kobieta“... Okazywała talent dramatyczny zarówno jak literacki.

„Była to niegdyś najpopularniejsza dziewczyna w Dublinie“... „najlepsza tancerka“, należała w swoim czasie do najznakomitszych nauczycieli języka gallickiego—twierdzili mężczyźni wszyscy bez wyjątku. — „Miała pięćdziesięciu starających się—dodał któryś—ale młody Eamonn de Valera jeden osiągnął cel starań, i poświęciła go“.

Pani Stevens, słysząc to wszystko, rzecz jasna, podwajała usiłowania. I w końcu „udało“ jej się.

Uzyskała mianowicie zaproszenie na „garden party“ na wieś do prof. Eoin Mac Neilly, speakera Dail Eizeannu.

Było to w czasie toczących się już rokowań angielsko-irlandzkich, kiedy patrioci i działacze irlandzcy pierwszy raz od bardzo dawna mieli możliwość zbierania się swobodnego w jasności dnia i w świetle słońca. We wspomnianej garden party wziął udział cały „kwiat“ towarzystwa irlandzkiego, między innymi i p. de Valera z małżonką, którą też sam przedstawił Amerykance z uśmiechem w oczach, zdającym się mówić: „może teraz pani się uda“...

Rzecz jasna, że już wtedy nie udać się nie mogło.

Sprawozdanie p. Stevens zaczyna się oczywiście od opisu powierzchowności, który podaje w skróceniu, nie rękując naturalnie za amerykańską ścisłość... A więc wzrost średni. Wydaje się być nawet mała, gdy stoi obok bardzo wysokiego i smukłego małżonka. Oczy niebieskie, koloru morza. Włosy obfite złocisto brunatne. Cera zdrowa, budowa silna, świadczą o stałym, krzepiącym wpływie morskiego powietrza. Wiek dojrzały, przytem wygląd młodej, pomimo... sześciorga dzieci.

Ubrana jest, jak tyle innych kobiet irlandzkich—stwierdza bystre oko korespondentki—w stylu raczej francuskim, niż brytyjskim. A więc jedwabny płaszcz granatowy, o luźnych wdzięcznych linjach, na granatowej również sukience. Granatowy aksamitny prosty kapelusik dobrze odbija od ciemno złotych włosów. Tegoż koloru jedwabne pończoszki i czarne pantofelki dopełniają harmonijnej całości.

Rozmowa:

— Czy zna pani poezję i ballady Williama Rooney? — brzmiało pierwsze niemal pytanie, z jakim zwróciła się do Amerykanki. Otrzymała odpowiedź przeczącą, dorzuciła: „Przedmowę do tego tomiku na-

pisał Arthur Griffith“. I tu zaczęła w słowach pełnych niemal uwielbienia mówić o p. Griffith, wice-prezydencie i ministrze spraw zagranicznych Irlandji. Rzecz tembardziej charakterystyczna, że między jej mężem a Griffithem doszło obecnie do ostrego zatargu politycznego, gdyż de Valera zwalcza ugodę z Anglią w tej formie, w jakiej ją w Londynie podpisał Griffith. Prezydent irlandzki uważa, że można i trzeba było lepiej i pełniej zabezpieczyć irlandzką niezawisłość, i walka, jaką prowadzi na tem tle przeciw Griffithowi, przybrała charakter jaskrawy i zacięty.

— Griffithowi zawdzięczam — wyznaje mimo to pani de Valera — moje przejęcie się sprawą wolności Irlandji. Byłam jeszcze bardzo młodziutką dziewczyną, kiedy czytałam mały dziennik gallicki, wydawany przez p. Griffitha w Dublinie. On to również natchnął mnie postanowieniem studjów nad językiem gallickim.

Sini O'Flanagan — takie było jej nazwisko panięskie — z kolei sama poczęła te studia szerzyć, oddawszy się z całym zapałem i z wielką umiejętnością nauczaniu tego wskrzeszonego języka irlandzkiego. Jej też zawdzięcza jego znajomość większość obecnych przywódców politycznych Irlandji.

Między innymi wśród uczni jej znalazł się młody uniwersytecki profesor matematyki, Eamonn de Valera...

I wypadki poszły po linii, dawno — w sytuacji podobnej — wykreślonej przez wieszczkę polskiego:

„...Z jakim rozkosznem wzruszeniem
Słyszał, z ust jej litewskie, już zapomniane, wyrazy!
Z każdym nowym wyrazem budzi się nowe uczucie,
Jako iskra z popiołu...“

A potem nadeszła również podobna konsekwencja:

„...on ją i tego nauczył,
Czego dotąd nie umiał, on ją nauczył miłować“.

W r. 1900 odbył się ślub de Valery z p. O'Flanagan. Spokojny zaś pierwotnie

ruch gallicko-kulturalny, w który ona go wciągnęła, przekształcił się pod jego głównie wpływem w potężny ruch republikańsko-rewolucyjny...

Pani de Valera oddana jest obecnie zupełnie wychowaniu swoich sześciorga dzieci, co jest tembardziej niezbędne, że mąż jej oddany jest zupełnie sprawom publicznym. Tem nie mniej dawna nauczycielka języka gallickiego nie zapomina o swoim fachem powołaniu i korzysta z każdej sposobności, by dalej nauczać. Zamieszkała na wybrzeżu morskim, gdzie pp. De Valera mają małą posiadłość, uczy każdego, kto chce się uczyć, uczy. np. teraz... zakonnice z pobliskiego klasztoru. Czwooro starszych jej dzieci mówi już płynnie po irlandzku, dwoje najmłodszych oczywiście też mówić będzie.

W ostatnich latach życia jej było za trute nieustanną obawą o męża, już nietylko wciąż nieobecnego, ale też żyjącego w ciągłym niebezpieczeństwie. „Dzień za dniem, miesiąc za miesiącem ukrywać się musiał i uciekać przed wrogami, i nigdy, nie wiedziałam, jaka wieść z godziny na godzinę przyjść może od niego lub o nim.“

— Nie powinnam wszakże nic mówić—dodała zaraz — wobec tylu dzielnych kobiet, okrytych żałobą po tych, co zginęli... Naszym drogim zmarłym winniśmy — rzekła, nawiązując do aktualnej kwestji ugody z Anglią,—by nie przyjmować dziś rzeczy mniejszej od tej, za którą oni ginęli tak bohatercko. Z drugiej strony powinniśmy uczynić wszystko, co leży w naszej mocy, by skończyć tę wojnę okrutną... Bóg nam dopomoże.

— Jej wiara w Boga jest absolutna — zauważa w tem miejscu pani Stevens.

Nie obeszło się oczywiście między temi dwiema paniami bez poruszenia kwestji kobiecej.

— Myślę nieraz nad tem — rzekła małżonka irlandzkiego prezydenta — czy gdyby kobiety miały taką władzę nad światem, jak mężczyźni, albo gdyby z nimi narówni władzą się dzieliły, czy też urządziły by świat lepiej... Znam teorię, wedle której, gdy kobiety są już okrutne, to są więcej wyrafinowane w okrucieństwie, niż mężczyźni, — dziś wszakże są one w najlepszym razie tylko wykonawcami, nie przywódcami... Skłonna jestem przypuszczać, że kobiety są cokolwiek bardziej cywilizowane, niż mężczyźni. Wszystkie matki w gruncie rzeczy nienawidzą wojny, tego jestem pewna. Co do mnie, wcale nie nienawidzę nieprzyjaciela. Nie czuję żadnych przeciw niemu uprzedzeń. I z matkami angielskimi, które straciły synów, współczuję zupełnie tak samo, jak i z matkami irlandzkimi.

Przyznaję, że wśród wielugodnych uwagi rzeczy, które powiedziała pani de Valera, to właśnie zdanie ostatnie w jej ustach wydaje mi się najpiękniejszym.

Irena Pannenkowa.

* * *

*Od abażuru lampy wielkie, fioletowe cienie
Rozpełzły się po ścianach, jak senne pająki.
Twoich pieszczot minionych rozpacznie wspomnienie
Tak pachnie jeszcze... Władną róż jesiennych pąki,*

*Porzucone przez Ciebie. Pachną Twoje róże,
A mnie się przywidują ust Twych świeże kwiaty,
Dłonie białe i oczy... smutne oczy duże.
...Refleksy lampy błędzą po ścianach komnaty.*

*Głupstwo! Przecież odeszłaś. To nastrój dziecienny
Myśleć o Tobie jeszcze... Północ wolno dzwoni...
Dzień się poczyna nowy, bez Ciebie, tak inny,
Tak samotny i dziwny. Nie będzie Twych dłoni,*

*Co kładną się na skronie cichutkie, dziewczęce.
I będę teraz zawsze północną godziną
Myśleć jeno o Tobie i tęsknić wciąż więcej...
...Jak cudny refleks światła, odeszłaś, dziewczyno.*

M. WOJCIECHOWSKA.

STROJE PAŃ POLSKICH.

O świecie mody, o różnorodności strojów kobiecych, o ubiorach narodowych i o małpowaniu cudzoziemczyzny, wreszcie o zbytku i o rozrzutności w Polsce mówi ostatnia praca Stanisława Lama, znakomitego bibliografa, badacza sztuki drukarskiej i obyczajowości w Polsce *).

Miła, z szlachetnym pietyzmem wydana książeczka zajmuje nietylko swą treścią, która poniekąd powieść ciekawą zastąpić może, jest ona jeszcze czemś więcej. Lam poucza o obyczajach w dawnej Polsce, a pani polska, która tych obyczajów domowych i dworskich była najcharakterystyczniejszym wyrazem, w całej swej okazałości wychyla się z pomroki dziejowej.

Barwnie, potoczyscie, z imponującą znajomością przedmiotu, z erudycją ścisłą, której dowodem są przypisy, umieszczone na końcu książki, wyliczające kilkadziesiąt conajmniej dzieł i artykułów naszych i obcych z zakresu mody, obyczajowości i kostjumologii, kreśli Lam dzieje strojów kobiecych w Polsce, przepłatając je materiałem — prawie nowelistycznym, ku ucieście pięknych niewiast, a może i tych, „panów mężów i władców domu, co to sakwę zaciskali, i dukatów na futra sobole i złote manele dawać nie chcieli, a tem humory u swych podwik wywoływali najgorsze“...

W rozdziale poświęconym zbytkowi w ubiorach, przytacza np. Piotra Weżyka satyryczny projekt ogólnego prawa przeciwko zbytkowi niewiast. I tak: „Niech płacą podatki od każdej jedwabnej szaty, za którą się ogon wlecze, od płaszczyka u którego przodki sobolowe, a pod wszystkim nie masz nic, od szaty otworzystej, od obroży na szyję, od dyndela u ucha, od

tęgo co się kudła z francuska, od tego, że w karocy po mieście się wożą, a procesja sług przed niemi idzie, od umizgania, od strojenia postawy, od pokraszania twarzy, od przyprawionych włosów trupich“.

Ów zbytek szat niewieściach dawał pole do popisu i innym satyrykom epoki. Zresztą tak w innych krajach, jak i u nas, specjalnie ustanowiona *lex sumptuaria* usiłowała położyć tamę przepychom i bogactwu strojów kobiecych, na które szły całe fortuny szlacheckie. Bezstronny autor, biorąc jednak poniekąd w obronę kobietę, przypomina, że w dawnej Polsce i mężczyźni nie grzeszyli zbytnią skromnością w ubiorze i zwyczajach, czego dowodem guzy brylantowe, przyszywane do kontuszów, drogiemi kamieniami wysadzone karabele, kosztowne spinki u kołpaków, zbroje złote, podkowy gubione w Rzymie przez poselstwo polskie, a nadewszystko tysiące antałów małmazji, spijących od krańca po kraniec Rzeczypospolitej.

W rozdziale zatytułowanym „Zwyczajstwo kobiety“, znajdujemy dokładny opis wszystkich staroświeckich szczegółów garderoby kobiecej. Jest tu mowa o bieliznie i rodzaju płócien, z jakich ją sporządzano, o pończochach, trzewikach, podwiązkach, gorsetach, kryzach, metlikach, kontusikach, futrach, salopach, rogówkach, kołpaczkach, biżuterji, rękawiczkach, fryzurach, wachlarzach, perfumach etc.

W następnym rozdziale autor wyjaśnia niedyskretnie, jak się w Polsce malowały kobiety, przytacza bojowe zdania satyryków polskich przeciw szminkom, daje opis cudownych leków na twarze piegawate, recept na udelikatnienie cery, i t. p. Wogóle wylicza kosmetyki z domowej apteczki, drwiąc zarazem subtelnie z tych malowanych piękności, które tak bardzo

kochały się w pudrach, różach, pachnidłach i plasterkach, a tak mało używały... mydła. Jeżeli bowiem prawdą jest, że ilość używanego mydła uważać można za miarę kultury narodowej, to u nas w Polsce kultura ta musiałaby budzić najprzykrzejsze refleksje.

Das ewig weibliche technie z tych kart i z tych opisów. Aczkolwiek bowiem dziś więcej używamy mydła i kąpieli, kobieta jest wiecznie jedna i ta sama: czy będzie nią ta, którą za czasów Bolesława Chrobrego podtrzymywać musiał pacholek, by pod ciężarem sukni swej, strojnej w niezliczoną ilość naszywek, nie padła, czy ta, co dziś owiana obłoczkiem „crêpe chiffon“ tańczy chimmy i fox trotta.

W dziale ilustracyjnym, a dział ten w książeczce traktowany jest z wielką pieczołowitością, dany jest przegląd strojów w reprodukcjach z obrazów, sztychów i drzeworytów, których autentyczność nie ulega wątpliwości. Sporo tu po raz pierwszy reprodukowanych prac Lejbowicza, czyli „Herszka rytownika“, którego sylwetkę skreślił St. Wasylewski w książce swej „U księżnej pani“. Prócz tego Lam wyzyskał materiał ilustrowany ze zbiorów wilanowskich, i galerji Lanckorońskich w Wiedniu. Pozobizny sztychów i rysunków D. Chodowieckiego uzupełniły całości, niezmiernie zajmującą i pouczającą.

Książka pod każdym względem wyróżnia się wśród całego potopu dzieł pseudonaukowych, przeładowanych treścią i nudnych w fabule.

Tu wszystko się uśmiecha.

„Stroje pań polskich“ są pożądanym nabytkiem dla miłośnika literatury pięknej i dla bibliofila, pragnącego mieć rzecz o nieprzemijającej wartości artystycznej w swym księgozbiore. *Z. Rabska.*

*) Stanisław Lam: Stroje pań polskich. (wiek XV—XVIII) Warszawa, Nakład Gebethnera i Wolffa.

HYGIENA DZIECKA.

W umiejętnem hodowaniu dzieci leży nietylko przyszłość narodu, lecz przyszłość całej ludzkości.

Wielu kobietom się zdaje, iż wystarczy być matką, by umieć wychować dziecko, sądzą one, iż Bóg stworzywszy kobietę, dał jej zarazem ową niezbędną umiejętność, która czyni, że nikt tak dobrze jak kobieta, a zwłaszcza matka dziecka wychować nie potrafi... Jest to oczywiście mniemanie błędne. Specjalne cechy właściwe charakterowi kobiety oraz miłość macierzyńska są czynnikami niezmiernie ważnymi w sprawie wychowania dziecka i czuwania nad jego rozwojem fizycznym i duchowym, — nie są jednak czynnikami wystarczającymi. Prawda, że matka spełni najlepiej wszystkie zalecenia, gdyż nikt tak, jak ona nie pragnie dobra dziecka, spełni je z większym oddaniem niż osoba obca, samo jednak przywiązanie nie wystarczy, uczucie nie może zastąpić wiadomości z różnych dziedzin nauki, a więc i higieny, — nie może zastąpić i dać pewnego doświadczenia.

Dziewczęta wchodzą przeważnie w życie mało doń i do swych zadań przygotowane: umieją rozwiązywać najtrudniejsze zadania z trygonometriji i algebry, wiedzą, co to są logarytmy, mogą z powodzeniem wykonywać szereg doświadczeń z fizyki

i chemji, znają historję z najdrobniejszymi szczegółami, prawo i t. p., nie umieją jednak później, gdy zostają matkami, nawet wykapać własnego dziecka i stoją pełne niepokoju przed tym nowym zadaniem kobiety-matki, którego, z powodu nadmiernej liczby niewiadomych, rozwiązać nie mogą: jaka ciepłota wody, w jaki sposób wziąć dziecko, jak długo trzymać w wodzie??... I pytają o radę swych babek, matek i ciotek, które kiedyś tych samych doznawały wzruszeń. I oto w jaki sposób tradycyjnie przechodzą z pokolenia na pokolenie wszelkie przesady, wszelkie błędne przepisy w rodzaju mierzenia ciepłoty wody łokciem i t. p.!

Dziecko będzie takim, jakim je wychoduje matka. Matka wolna od przesądów, któremi sama się nie unieszczęśliwia i otoczeniu nie zagryza życia, matka uświadomiona, która dzięki temu będzie mogła zapewnić swym dzieciom rozwój prawidłowy, oparty na dokładnej znajomości jego ustroju oraz na znajomości zasad higieny, zacerpniętych ze źródeł pewnych, taka matka wychoduje dzieci zdrowe sobie na pociechę, ojezyźnie na pożytek.

Świadomość konieczności poznania zasad higieny zatacza w społeczeństwie naszym kręgi coraz szersze, przenika do warstw coraz głębszych, świadczą o tem

licznie uczęszczane wykłady higieny, mające na celu zapewnienie przyszłym matkom tych wiadomości, które są dla nich w przyszłości niezbędne, świadczą o tem wykłady higieny prowadzone w szkołach. A im większa będzie liczba matek umiejących utrzymać swe dzieci w zdrowiu, tym mniejsza będzie liczba zachorowań i śmierci wśród dzieci, a wszak statystyka wykazuje, że śmiertelność wśród dzieci jest nadmierna oraz, że choruje i umiera dzieci znacznie więcej aniżeli dorosłych.

To też każda matka, która chce zachować ten skarb największy, — zdrowie swego dziecka, powinna mieć głęboko wyrte w umyśle i sercu prawdy następujące:

1. Mleka matki nic nie może zastąpić.
2. Mleko matki należy tylko do jej dziecka.
3. Każda matka powinna karmić swoje dziecko, gdyż nie ma prawie takiej kobiety, która nie miałaby pokarmu.
4. Dziecko, które się urodziło zdrowem, nie powinno chorować na zaburzenia w przewodzie pokarmowym. Otoczenie dziecka jest przyczyną jego choroby.
5. Prawidłowe karmienie jest rękojmią zdrowia i życia dziecka.
6. W umiejętnem hodowaniu dzieci leży przyszłość nie tylko danego narodu, lecz całej ludzkości. *Dr. Matylda Bieher.*

MARYA-JEHANNE HR. WIELOPOLSKA.
Z „KSIĘGI O PRZYJACIOŁACH”¹⁾.
O W C E.

Rwie się w strzępki biała kurzawa, śnieżna nawałnica rozpada się w wachlarze, a tu i ówdzie, na wachlarzu malowany, wyłania się pyszczek, oszroniony, osoplony, omotany przedzą, okutany w niepodobieństwo kryz.

Van Dyck w biedermayerowskich lokach. Dwoje oczu cudnych, jak zapomnienie, w oprawie ściemniałych rzęs, oczy wieczyste piękne i jakby we wieczyste piękno zapatrzone.

Nie jest pyszczek ten łaskaw ani na chleb, ani na sól, ani na cukier, ani wogóle na człowieka. Zdaleka suchą linią przecina białą plamę kurzawy, serdecznie nieufny. Bezpotrzebnie wyciągasz doń dłonie, bogate w przysmaki i obietnicę pieszczot. Nie chce ciebie, nie chce pieszczot, nie chce przysmaków.

Raz tylko drgnął nieprzejednany pyszczek i wyciągnął się ku tobie, gdyś gałąź czeremchy kwitnącej miał w palcach. Ale i przed tą pokusą się ostał.

— Baziu... mówisz słodko i kusząco.

Nic.

Co to za dźwięk: „baziu“? Co to za słowo? Ani czarowny chrząst siana to, zimowy, ani wiosenna to, cudna miękkość tratowanej trawy, ani daleki plusk upragnionej wody to, w której się widzi twarz swoją wąską, w okutaniu futer i te oczy nieprzejednane, bezimienne, z żółtego kamienia.

Bezpotrzebnie tedy wołasz:

— Baziu...

Natomiast podnosi się z kurzawy, jak z obłędu wirujących piachów Sahary, inna twarz. Twarz Egipcjanki, ciemna, długa, pod skłębioną grzywą — wąskie oczy zupełnie czarne, łakome i trwożliwe. Zbliża się ta twarz do twoich stonych rąk, pełnych chleba — ach chleb!

Najpierw miękuszka, wygryzana łapczywie, a tak lepka, że obraca się rozpaczliwie języczek po pustych, górnych działkach i ostrej, białej palisadzie dolnej szczęki. Cienka, czarna nóżka, nagle wytknięta z futra, tupie i tupie w amoniakowe leże.

— Co za klajster zdradziecki!!! irytują się podłużne oczy.

Ale powiedz lepiej, mumijko egipska, gdzie paseczki twoje, gdzie śmiertelne, liturgiczne pieluszki, w które cię owinięto dziesięć tysięcy lat temu na wieczny sen? Gdzie skarabeusze, spięte nad twem nizkiem czołem? i tajemniczy znak Faraonów: skrzydlaty dysk słoneczny, opleciony dwoma wężami, o fulgurujących łbach?

Już tak dawno nie piła mordka twoja brunatna, jedyna, u czterech rzek, z których złota rzeka, Ozyrysa, była Rozumem—

błękitna, bogini Izis, była Miłością — purpurowa, boga Râ, była Życiem, a szmaragdowa — nie pamiętam. Ty wiesz.

Już tak dawno nie mówiłaś czterem węglom świata, całując krzyż na mistyczny kształt paraboli: „byłam wczoraj i znam jutro“...

Trzy gigantyczne klucze Egiptu: piramida, dysk słoneczny i sfinks, już tak dawno wypadły z twoich obumarłych rąk — z tych rąk, które, gdy Faraon szedł w chwale, tyś trzymała zawsze, zawsze, na jego boskiem ramieniu, na znak, żeś gotowa towarzyszyć mu we wszystką drogę życia.

Siostrzyca twoja nazywała się Temezis i była mniszka w klasztorze Amona-Râ, w Abydos i miała 10.000 lat temu cienkie, smagłe palce, do dziś skrzyżowane nad nicością niebijącego serca — druga siostrzyca twoja, była Nittakit. Nie chcąc zginąć marną śmiercią, skoczyła w przepaść, wysypaną jedwabistym, aromatycznym popiołem, który nagotowała poprzd, spaliwszy cały las papyrusów, 15 stóp wysokich i miliony krzaków jujuby.

Trzecia siostrzyca twoja...

O Nefretino — fretno — ferouunten (podwójnie piękna, Najpiękniejsza z Pięknych)!!! zgłodniałaś w podziemiach piramidy, pod zimnem skrzydłem sepa, którego oczy z jaspisu 10.000 lat przyświecały twoim samotnym nocom, zaledwie osłodzonym garścią spopielałych stokrótek, lotusów i jaśminu..?

Je łapczywie i ufnie, tylko nogą tupie raz poraz.

Z kurzawy wychodzi nagle On, olbrzym. Kanciasta, czarna twarz zwraca impetycznie ku tobie. Idzie przebojem, osadzony na krótkich nogach.

— Dawaj!

Nie pyta, tylko całym cielskim włochem krzyczy:

— Dawaj!

Król Mameluków zna tylko komendę. Sam jeden wśród tej frywolnej, zwarjowanej, lekliwej gromady samic, wciąga pełnemi nozdrzami wiercący, odurzający zapach władztwa i amoniaku.

— Dawaj! O tamte mniejsza, byle ja, pan stworzenia...

I rąbie kanciastym łbem Mameluka w puszysty mur nałożnic, drogę mu zagrazdających:

— Masz, Baziu...

Truchcikiem zbliża się młoda maseczka. Nie widać jej zalotnej twarzy. Maską jedwabną, lśniącą, szczelnie ją zakrywa i domino białe, z łabędziego puchu. Tylko radość oczu widać i mały, prawie że imperytencki nosek.

Cała jest w robronach, cała w falbanki i kryzy. Czarne, jedwabne pończochy, jak na kartonach Ropsa, obciskają jej malutkie

nożyny. Jakby z nieprzystojnej książki zeszyły ex-librys Bayrosa, dmucha ci w dłoń i zlizuje z palców twoich sól, szybkim, różowym ozorkiem.

Mameluk przypatruje się jej z kamienią pobłażliwością, podkreślając dyskretnie jej stanowisko wybitnej faworyty.

Nagle... szum, łoskot, dudnienie, bek. Puszysty mur cofa się.

Wszczyna się tajemniczy, bezprzyczynowy obrzęd księżycy, teroryzującego oceany.

Odpyw morza!

Fala toczy się wstecz, biała kurzawa piany szumuje, huczy, tryska, aż nareszcie wali o przeciwległy mur.

W posępnej głębi obryzguje wełnista piana kamienie, a przed nami puste zostaje wybrzeże, pachnące amoniakiem.

Zaś w końcowym punkcie odpywu, błyskają raz wraz światełka latarni morskich: bezimienne oczy, nieprzejednane.

Z PETRONIUSZA.
DO KOCHANKI.

*Oczy twe cudnie jaśniej
jak złote gwiazdy błękitu...
Patrzę na Ciebie, dziecino
pefen boskiego zachwyty...*

*Płec twoja delikatniejsza
od róż z Cezara ogrodów.
Włos słoneczniejszy od złota
a usta słodsze od miodów.*

*Gdy twoje białe rączyny
jedwabie barwiste płotą,
zdają się darzyć pieszczotą
kosztowną tkaninę złotą...*

*Nóżki twe zranic by mogły
kamyki tej szarej ziemi.
Mogłabyś stąpać po filji
kielichach stopy lekkimi...*

*Serce me srogo zranione
przez ciebie od krwi rumiane —
Jeno twym pocafunkiem
zagoić możesz mą ranę.*

*Nie targaj mej duszy biednej
mifosnym nekanej szafem.
Jam gotów śmiercią zapłacić
zbrodnię, — że ciebie kochałem...*

*Spełnij ostatnią mą prośbę...
Gdy umrę — w dłonie kochane
ujmij mą głowę, najśłodsza...
W miłości twej — zmartwychwstaę...*

Przełożył

JULJAN EJSMOND.

¹⁾ Część I i II umieszczone w *Kontryfatuowych Lich-tarzach u Św. Agnieszki*, nowelach wyd. Ignis. Warszawy. 1921 r.

JACK LONDON.

PRZEMYŚLNY PORPORTUK.

(DALSZY CIĄG).

Porportuk patrzył zdumiony i zakoczony, a głośny śmiech biesiadników wstrząsał ścianami izby. Klakee-Nah wznosił obie ręce. — Nie — zawołał — to wcale nie żarty. Ja tylko mówię uczciwie. Dlatego właśnie wezwałem cię, Porportuk. No, dawaj kwit.

— Nie prowadzę interesów z tamtym światem — odpowiedział powoli lichwiarz.

— Jakto? Nie przypuszczasz, że spotkamy się u ogniska Wielkiego Ojca? — zapytał Klakee-Nah. A potem dodał: — Co do mnie będę tam z pewnością.

— Nie prowadzę interesów z tamtym światem, — powtórzył chmurnie Porportuk.

Umierający człowiek spoglądał nań ze szczerym zdumieniem.

— Znam nicość tamtego świata — wyjaśniał Porportuk. — Wolę dłużników tu na ziemi.

Twarz Klakee-Naha rozjaśniła się śmiechem. — Twojemu niedowiarstwu winne jest to, że śpisz w zimnie. — zawołał. Poczem pomyślał chwilę i rzekł: — Chcesz koniecznie być zapłaconym na tym świecie? Niech i tak będzie. Posiadam ten oto dom. Weź go i spal kwity nad tą świecą.

— Dom jest stary i nie wart tyle — odrzekł Porportuk.

— Mam jeszcze złotą parcelę przy Zwinym Łososiu.

— Ee, dochód nie wart zachodu — brzmiała odpowiedź.

— Jest jeszcze mój udział w parowcu *Koyokuk*. Jestem niemal jego właścicielem.

— Tak, lecz parowiec spoczywa na dnie Yukonu.

Klakee-Nah zamyslił się. — Prawda, zapomniałem, było to zeszłej wiosny, kiedy ruszyły lody.

Zamilkł, a goście nie tykali kielichów, przejęci tem, co się działo.

— Więc, znaczyłoby, że jestem ci winien sumę, której nie mam czem zapłacić... na tym świecie?.. wyrzekł powoli.

Porportuk skinął i spojrział po zebranych.

— Więc, znaczyłoby, że ty, Porportuk jesteś biedny poszkodowany człowiek — powiedział chytrze Klakee-Nah. Lecz odpowiedź Porportuka brzmiała hardo: — Nie; posiadasz jeszcze dobro nie tknięte.

— Co ty mówisz! — krzyknął Klakee-Nah. — Wciąż jeszcze coś posiadam? Bierz, zabieraj, i długu już niema!

— Oto jest. — Porportuk w skazał El-Soo. Klakee-Nah nie mógł pojąć. Patrzył na koniec stołu, przecierał oczy i patrzył znowu.

— Twoja córka, El-Soo. Wezmę ją i długu nie będzie. Spalę kwity tu przy tej świecy.

Wielka pierś Klakee-Naha poczęła się podnosić. — Ho! ho! — a to kawał — Ho! ho! ho! — wybuchnął homeryckim śmiechem. — Ty, z twojem zimnem łóżem i córkami, z których każda mogłaby być matką El-Soo! Ho! ho! ho! — kaszel go zdławił i czernej niewolnicy pośpiesznie rozcierać poczę-

li trzęsące się plecy. — Ho! ho! — rozpoczął znowu, chwycony jednak natychmiast przez drugi paroksyzm.

Porportuk czekał cierpliwie, obserwując podwójny rząd twarzy wzdłuż stołu.

— To nie żart — wyrzekł nareszcie. — Moje słowa obmyślane są dobrze.

Klakee-Nah uspokoił się, spojrział mu w oczy i sięgnął po szklanę, ale nie mógł jej ująć. Sługa podał, a wtedy szklanka i wino ciśnięte gniewną dłońą poleciały prosto w twarz Porportuka. Precz z nim! ryknął Klakee-Nah do wyczekujących przyjaciół, sprężonych już do skoku, jak sfora psów na smyczy. — Wyrzucić w śnieg!

Kiedy szalony hałas minął Klakee-Naha i odpłynął przez drzwi na podwórze — stary wódz dał znak niewolnikom, żeby pomogli mu wstać i podtrzymali stojącego. Powracających biesiadników spotkał z kielichem w rękę i wznosił toast ku czci krótkich nocy, kiedy sen człowieczy gorący jest i słodki.

Niewiele czasu zużyto na obliczenie pozostałej po starym wodzu schedy. Tommy, mały angił, urzędnik z placówki handlowej wezwany został przez El-Soo do pomocy w rachunkach. Nie było nic prócz długów przeterminowanych weksli i posiadłości zastawionych lub bezwartościowych. Hypoteki i weksle były w rękę Porportuka. Tommy, próbując rozplatać pogmatwane rachunki, wielokrotnie nazywał go rabusiem.

— Czy jest dług, Tommy? — pytała El-Soo.

— Jest złodziejstwo i rozbój, — odpowiadał Tommy.

— Niemniej, dług jest, — nastawała dziewczyna.

Minęła zima i wczesna wiosna, a pretensje Porportuka wciąż nie zostały zaspokojone. Stary często widywał El-Soo i za każdym razem tłumaczył jej napróżno, jak niegdyś wodzowi, w jaki sposób należność może być zwrócona. Przyprowadzał nawet ze sobą pewnego mądrego znachora, który próbował dowieść upartej dziewczynie, że w razie nie zapłacenia długu, ojciec jej potępiony będzie na wieki. Pewnego razu, po jednym z takich wykładów, El-Soo oznajmiła ostatecznie.

— Słuchaj Porportuk, powiem ci dwie rzeczy. Po pierwsze: nigdy nie zostaną twoją żoną. Rozumiesz? Po drugie: Twoje szesnaście tysięcy dolarów zwrócone ci będą do ostatniego centa.

— Piętnaście tysięcy dziewięćset sześćdziesiąt siedem dolarów i siedemdziesiąt pięć centów — poprawił Porportuk.

— Ojciec powiedział szesnaście tysięcy. I tak będzie.

— Jakim sposobem?

— Nie wiem jakim sposobem, ale sposób znajdę. A teraz proszę sobie iść i nie napastować mnie więcej. Jeżeli zaś, — zawahała się chwilę, szukając słów odpowiednich — jeżeli się ośmielisz, każę wyrzucić

cię w śnieg... jak tylko pierwszy śnieg spadnie.

Rozmowa ta miała miejsce wczesną wiosną, niedługo zaś potem El-Soo zadziwiła okolicę. Wieść pomknęła w dół i w górę rzeki, wzdłuż całego Yukonu i powtarzana była przez setki ust, u wszystkich ognisk od Chilcoot aż do wielkiej Delt. Mówiono, że w czerwcu, kiedy ruszą pierwsze łososie, piękna El-Soo, córka Klakee-Naha sprzeda sama siebie na przetargu publicznym, żeby zapłacić długi ojca, zaciągnięte u Porportuka. Próżne były wszystkie perswazyje przyjaciół. Misjonarz od Ś-go Jerzego spierał się z nią długo, lecz dziewczyna powtarzała uparcie:

— Tylko zobowiązania wobec Boga mogą być wypełniane na tamtym świecie. — Rachunki z ludźmi należy załatwić tu na ziemi.

Akoon walczył z nią rozpaczliwie, ale odpowiadała:

— Kocham Cię, Akoon, honor jednak lepszy jest, niż miłość i — powiedz — cóżbym była warta, gdybym oczerniła pamięć ojca?

Siostra Alberta przybyła na pierwszym parowcu, aż z Misji Ś-go Krzyża, ale również nic nie wskórała.

— Ojciec mój wędruje przez dzikie i ciemne lasy — mówiła El-Soo. I będzie tak wędrował w cierpieniach i męce, dopóki ostatni cent nie zostanie zwrócony. Wtedy, i tylko wtedy będzie mógł wejść do domu Wielkiego Ojca.

— I ty w to wierzysz? — pytała Siostra Alberta.

— Nie wiem. — Ojciec mój wierzył.

Siostra Alberta niedowierzająco wzruszała ramionami.

— Któż może zaręczyć, że to, w co wierzymy jest prawdą? — ciągnęła El-Soo — ale dlaczegożby prawdą być nie miało? Wasz przyszły świat, Sostro, jest niebem i piekłem... Dlatego, że wierzycie w niebo i piekło. Dla mego ojca przyszłym światem był wielki dom, w którym zawsze siedzieć będzie za stołem, uczując wraz z Bogiem.

— A ty, pytała Siostra Alberta. — Jakież jest twój przyszły świat?

El-Soo zawahała się, lecz tylko chwilę.

— Ja... chciałabym każdego po trochu, — rzekła. — Chciałabym widzieć przy sobie zarówno waszą twarz, Sostro, jak twarz mojego ojca.

Nadszedł dzień licytacji. Stacja Tananaw zaroiła się od ludzi. Wedle starego zwyczaju ściągnęły tu okoliczne plemiona, aby spotkać pierwsze ruszenie łososi. Czas oczekiwania skracano sobie handlem, tańcem i hulanką. Nie obeszło się też bez tradycyjnej garstki białych, poszukiwaczy przygód, kupców, agentów. Tym razem zjawilo się ich znacznie więcej, zarówno przez ciekawość, jak i skutek bezpośredniego zainteresowania w sensacyjnym przetargu.

(D. c. n.)

JADWIGA MARCINOWSKA.

W POŻODZE EUROPY.

(DALSZY CIĄG).

Pod wrażeniem smutku i nieufności przytuliła się myśl do wspomnień dziecinnych, starała się rozegrzeć obrazami ślicznego Wetewreden¹⁾, gdzie niskie parterowe domy toną w gęstwinie przepysznie rozkwitłej roślinności, gdzie wieczorami, po dniu upalnym, w kanałach, przecinających miasto, kąpią się tłumy wesołej i łagodnej ludności.

Jakbyż się dziewczyna obecnie znaleźć pragnęła w takim domu zacisznym, otoczonym werandą głęboką, w pokojach, do kąd, wysoko, bo nieledwie pod sufitem, umieszczone okna nie dopuszczają natarczywości promieni. Nie wdziera się gorąco, lecz jednocześnie w tem przyémieniu światła niemasz nic ponurego.

Istnieje pewność, że tam na zewnątrz jest słońce, niewyczerpany rozdawca barwy i życia. Dość wychylić się, aby pić to oczyma, wszystkością członków i całą czujnością ludzkiej duszy.

Biegną wspomnienia Lei daleko, daleko... O, jak dobrze bywało, jakże rozkosznie, czasu wakacji, w domostwie kochającego, starego dziadka w Garvet²⁾ Jechało się ze skwarne Wetewreden do miejscowości górskiej w uroczej prowincji Preen-ger.. Dziadek utrzymywał hotel, przez turystów uczęszczany chętnie i licznie. Sędziwy, barczysty i rozrosły, ociężyły Holender, z dobroduszną, spokojną twarzą, trudnił się sam nadzorem całego interesu, a w chwilach wolniejszych od zajęć, przyglądał się zabawom wnuków, szczypiąc je niekiedy delikatnie w świeże roześmiane twarzyczki. Hotel, w cieniu ogromnych drzew, składał się z kilku niskich budowli, obrębionych krzakami róż; dziadek kochał się w różach... Lea doznawała teraz wrażenia, że z napływem przypominanych obrazów przychodzi ku niej, do kojącej pieczyoty podobna, przesłodka, cudna woń...

O, jak pachniały te róże, niewidzialne jeszcze w pomroku, przed momentem, w którym miał rodzić się dzień! Jak świeciły się na odchodnym wyiskrzone, przepyszne gwiazdy! Dzieciom, rozspanym jeszcze i trochę zziębniętym o chłodnej przedrannej godzinie, przynoszono odrobinę zimnego wywaru kawy i dużo gorącego mleka... Słychać było poza ogrodzeniem prychnanie oczekujących koni. A powietrze napełniał zapach róż...

Takie wstawania do dnia wiązało się zazwyczaj z wycieczką po okolicy. Jechała dziatwa pod opieką starego sługi Sundańczyka. Przejeżdżali przez miasteczko uspio-
ne. Skoro jednak, pozostawiwszy za sobą ostatnie domostwa Garvetu wjeżdżali na szerokie drogi, tajemnicze w nawisłych szpalerach wielkich drzew, już poczyna-

napotykać drepące pośpiesznie postacie w „sladongach“¹⁾ dookoła ramion i w szerokich dzwonkowych kapeluszach. To przepokupnie dążyli ku miastu z koszami lub wiązkami bananów na skrzypiących nosidłach z bambusu.

Potem — nieledwie nagle rodził się dzień. Występowała na jaw czarodziejska, okrągła dolina w obramowaniu stózkowatych gór wulkanicznych, przedziwnie delikatne światła ametystowe zapalały się wokoło konturów tych, jak radosne korony. W chwilę później tryumfujący majestat złotego słońca rzucał swe świetne odbicie w głąb doliny na płaty srebrzystej wody, pokrywającej tu i owdzie szachownicę pól ryżowych i obejmował promiennem uweseleniem wyniosłe czuby palm. I wszystko wkrąg napełniało się nieskończenie jasnym wzrokiem, jak wyraz istotny wiecznej wiosny...

Do wycieczek najbardziej ulubionych należała wyprawa nad jezioro Sitve²⁾ Bagendit.

Na srebrnej, szeroko rozlanej toni widniały dwie maluchne wysepki, porośnięte olbrzymimi drzewami. Z jakiejś nadbrzeżnej wioski dolatywało, przedziwnie swoistą melodyjnością, trochę melancholijne, a słodkie klekotanie miejscowych narzędzi muzycznych, bardzo prostych, złożonych z kilku rzędów rurek bambusowych, długości rozmaitej. Przy odpowiednim, rytmicznym potrząsaniu rodziły się z tego dźwięki nieco podobne do łagodnego szmerania kropel wodnych... I wiał od nich oddech świeżości, taki właśnie, jaki się w świetliste poranki unosi w tym cudnym i jakgdyby wieczystym młodym kraju.

Jeździło się także z wielką uciechą na Gvenveng Gventer,³⁾ górę piorunową, do ciekawych i nadzwyczajnych, dymiących się w gęstym lesie otworów wulkanu Kawach Kamodyan.

Było to zarazem pociągające i cokolwiek groźne i nastęrczące przemiennych wrażeń całe szeregi...

Droga wspiwała się najpierw w pośród plantacji kawy i mijała gdzieś niegdzie chaty z bambusu z dachami o rogach powywijanych wzwyż. Krajobraz weselił się w rannem słońcu. Następnie uderzała nagła cisza i poczynał się las...

Był tak wysoki, iż oko gubiło się naderemnie w dosięganiu wierzchołków. Był taki zwarty i tak opleciony przepychem ljan rozmaitych, że stanowił po obu stronach ścieżyny ścianę nieprzeniknioną, jak ciągła tajemnica, panowało w nim uroczyste, niesamowite niemal milczenie.

Nie powszedniał ten widok i dziecinne

serca za każdym razem przejmowały się napięciem oczekiwania.

W pewnej chwili zaczynała powonieniu dolegać przykra woń siarki, coś bieleło przez szpary niebotycznej gęstwiny... I narreszcie u wylotu ścieżki wybłyskiwało okrągłe, mleczej barwy jeziorko.

Puszcza naokół wydawała się ciemna i steżała w niewymownej cichości. Trawy i krzewiny rosły obficie, rozpościerając się aż ku brzegom spokojnej, martwej wody. Ale żaden owad się nie odzywał i żaden ptak nie przelatywał przed gęstwiną. Była wbrew bujności roślinnej cisza niezamącona — jakgdyby myśl o śmierci...

Sercom dziecinny czyniło się trochę straszno i smutno. Smutek pierzchał jednakże, gdy, zostawiwszy konie, wdzierało się już pieszo, jeszcze wyżej, do celu. Następowało nieodmienne zawsze i ubawione zdumienie.

Jak w bajce dymił się las bogaty — obłokami gęstego siwego dymu. Wybuchaly one, i tu, i tam, i owdzie z niewielkich, wiecznie czynnych kraterów. Owijały w fantastycznych skłębieniach kontury wysokich drzew. Niżej jakieś cudnie czerwone krzaki barwiły się na tem tle... „Gotował się las“ jak mówiły dzieci. Ziemia była gorąca i ugiwała się pod stopami. Trzeba było bardzo ostrożnie iść za przewodnikiem krok w krok... Gdzieś niegdzie w malutkich studzienkach i sadzaweczkach bulgotała kipiąca, mętna ciecz... Las „gotował się“, a nie spalał; trwał przepychem swym drzewnym i bogactwem listowia w tych tumanach białawych, na tej drgającej i niespokojnej glebie...

Wspomnienia tak owładnęły Leą, iż wywołały czyn poniekąd — dziecinny... Szybkim ruchem poczęła przeszukiwać zawartość swych walizek podróżnych. Znalazła po niedługiej chwili rzecz pożądaną. Pośpiesznie zrzuciła z siebie suknie i przywdziała jawański „sarong“¹⁾ i głęboko u szyi wyciętą „kabajs“²⁾.

Holenderki na Jawie zwykły były w tym dogodnym stroju miejscowym chodzić u siebie po domu. Dziewczyna uczyła się w ten sposób jakgdyby bliższą swoich i mniej samotną. Wydało się jej chwilowo, że coś ją namacalnie łączy z rodziną i otoczeniem, od których się oderwała, pociągnięta entuzjazmem w sprawie nowej religii, ale za którymi obecnie, po przeżytem wstrząśnieniu, coraz częściej i wyraźniej tęskniła.

Otworzyła drzwi, na korytarz hotelowy wiodące, i stanęła na progu. Nawprost było duże okno z widokiem na jakiś rozległy plac przypruszony mgłami po dżdżystym dniu.

¹⁾ Dzielnica europejska w Batanji, stolicy Jawy.

²⁾ Czyt. Garut.

¹⁾ Sztuka tkaniny, służąca jako płaszcz.

²⁾ Czyt. Situ.

³⁾ Gunung Gunter.

¹⁾ Tkanina wzorzysta owijająca biodra jak spódnica.

²⁾ Kaftanik, najczęściej biały.

KRAWCZYNI I SZWACZKI CHRZEŚCIJAŃSKIE W WARSZAWIE

(Dalszy ciąg).

I w tych skromnych rozmiarach przeprowadzanie wywiadów napotykało na wielkie trudności: Robotnice, przeczytawszy w prasie, że Ministerstwo Pracy i O. S. wzywa je do dawania zeznań o swem położeniu, napływały tłumnie w godzinach oznaczonych i po za nimi. Cele naukowe czy wywiadowcze nie obchodziły ich jednak wcale, a może nawet burzały, ponieważ był to okres ciężkiej biedy i depresji. Skoro zatem ustaliły, że na tej drodze nie otrzymają pracy, ani nie dowiedzą się o miejscu lepiej płatnym od tego, które zajmowały uprzednio, że nie chodzi o bezrobotne, ale o pracujące, nie było sposobu, aby je zwabić. Należało zadowolnić się informacjami w mniejszej liczbie i dopełnić je na drodze pośredniej przez urządzenie konferencji z przedstawicielami przedsiębiorstw różnego typu i wielkości, oraz prowadzonych przez instytucje społeczne. Wiadomości powyższe zostały dopełnione na konferencjach z przedstawicielami związków zawodowych kobiecych, oraz tych mieszanych, do których zapisane są większe liczby kobiet, oraz przez informacje od rzeczoznawców przygodnych.

Na tej drodze przesłuchano i przedyskutowano sprawę konfekcji, ustalając stan damskiego krawiectwa i szwalni, oraz starając się o wypełnienie odpowiednich kwestjonariuszy, przeznaczonych dla przedsiębiorców i stowarzyszeń zawodowych. Ujawniło się przy tym, że przedsiębiorcy podejrzewają rząd o chęć nałożenia na nich nowych podatków. Przez odpowiednie wyjaśnienie sprawy otrzymywało się jednak zgodne z prawdą zeznania.

Wywiady z robotnicami dokonywane były w naznaczonych godzinach w biurze, co jak wspominałam nie wielkie dało rezultaty. Po za tem trzeba było używać pośrednictwa stowarzyszeń zawodowych, instytucji humanitarnych, oraz zbierać dane przez stosunki w poszczególnych pracowniach. Znaczna część kwestjonariuszy wypełniona została dzięki p. Cecylii Walewskiej, która zbierała dane w prowadzonych przez siebie instytucjach, a zatem w Pierwszej szkole Niedzielnej i Wieczornej dla pracownic oraz w T-wie Zawodowego Kształcenia Kobiet.

Postanowiono urządzić konferencję z rzeczoznawcami według zawodów, zaś wypełniać kwestjonariusze według zeznań każdej przychodzącej pracownicy, niezależnie od jej zatrudnienia. O ile szukało się ekspertek w ich siedzibie lub stowarzyszeniu zachowywana była pierwsza zasada.

Ponieważ ankieta zbierana wśród pracownic szła bardzo opornie, przerwałyśmy ją w marcu ubiegłego roku, postanawiając wznowić i kontynuować dalej skoro na rynku pracy będą stosunki normalne.

Po obliczeniu okazało się, że wśród krawczyń i szwaczek zebrało się jednakże dość materiału, by skorzystać z uzyskanych na konferencjach z rzeczoznawcami wiadomości, odtworzyć stan przemysłu konfekcyjnego w Warszawie i panujące w nim stosunki robotnicze oraz zarobkowe w lutym i marcu 1919 r.

W celu poznania tendencji rozwojowych w przemyśle konfekcyjnym zbierane były informacje na określone pytania z początkiem zimy 1919 na 1920 rok od tych samych przedsiębiorców, którzy dawniej już uczestniczyli w ankiecie. Pytania powyższe brzmiały:

Ile pracownic pracuje w chwili obecnej na miejscu.
Ile osób zatrudnia pracownia na mieście.

Zarobek każdej z tych kategorii.

Jak wpływa konkurencja zagraniczna na krajową wytwórczość, a specjalnie jak odczuwa tą konkurencję dane przedsiębiorstwo.

Dla chwili obecnej mamy przeto jedynie dane, świadczące o ogólnej tendencji, panującej w przemyśle, z których przy normalnym rozwoju stosunków możnaby wywnioskować, czy stoimy u końca kryzysu, czy też kryzys ten trwa w dalszym ciągu. Jednak wobec zmian, zachodzących niemal z dnia na dzień i niespodzianych całkiem wypadków i owe wiadomości zbierane na miesiąc zaledwie przed drukiem ankiety mogą już w chwili czytania wcale nie odpowiadać rzeczywistości.

Zaznaczywszy wspomniane braki przystępuję do przedstawienia danych o położeniu szwaczek i krawczyń w Warszawie.

Źródła i materiał. Wywiady nasze opierają się na następujących źródłach:

a) Posiedzenia z przedstawicielami większych i mniejszych pracowni krawieckich i konfekcyjnych, prywatnych oraz prowadzonych przez instytucje humanitarne i kooperatywy i z delegatami związków zawodowych. Wszystkich posiedzeń było 7, z których 3 przypadło na związki zawodowe. Na posiedzeniach, prowadzonych według ułożonego z góry planu, na które zapraszeni byli przedstawiciele Urzędu statystycznego, Ministerstwa P. i H., Ministerstwa Z. P. oraz Inspektoratu Pracy starano się przedewszystkiem otrzymać wiadomości o stanie konfekcji i krawiectwa i o zmianach, jakie te gałęzie wytwórstwa przechodziły podczas wojny. Po za tem omawiane były kwestje ogólniejsze, a mianowicie sprawa zawodowego przygotowania pracownic, zrzeszenia zarobkodawców, związków zawodowych różnego typu i wzajemnego ich stosunku, opieki nad pracownicami i t. d. Szczegóły, dotyczące poszczególnych pracowni obejmują:

b) specjalne, wypełnione przez kierowniczkę pracowni lub kierowników kwestjonariusze. A mianowicie: Pracowni prywatne wypełniły kwestjonariuszy 23. Pracowni kooperatywne i stowarzyszeniowe 6. Związki zawodowe ograniczyły się do udzielenia obszernych informacji ustnych.

c) Odpowiedzi na kwestjonariusze ze strony pracownic, przyczem rozróżniano 3 kategorie:

Szwaczki i krawczyźnie zatrudnione w pracowniach	82	odpowiedzi
Szwaczki chałupniczeki	39	"
Szwaczki przychodzące do roboty do domów	13	"

Szematy kwestjonariuszy podane są na końcu jako annexy I — a.

W lutym i marcu a nawet jeszcze w kwietniu 1919 r. pracowni krawieckie i konfekcyjne stały bardzo źle, ponieważ nie było żadnego ruchu, a klientki oczekiwały zapowiedzianych z zagranicy tańszych materiałów. Był to naogół ciąg dalszy sezonu martwego, który zapanował w czasie okupacji niemieckiej.

Wojna bowiem nie od razu dała się uczuć w Warszawie, jak obniżenie tempa ekonomicznego życia. Ineteresa handlowe i pewne gałęzie wytwórstwa aż do chwili wyjścia rosjan z Warszawy były b. ożywione. Do ostatnich należała konfekcja damska, ponieważ zwiększony napływ rosjan wprowadził tu ruch wzmożony, a pieniędzy przewalało się bardzo wiele, stając się pobudką do t. zw. sprawiania, a zatem dostarczania klienteli szwalniom i szwaczkom różnego typu. Ruch ten słabnie z wejściem Niemców, a zamiera prawie zupełnie w 17 i 18 roku. Zdawało się, że zmiana stosunków odbije się korzystnie na robocie, jednakże w momencie przeprowadzania wywiadów zastój trwał w dalszym ciągu. Nie było zatem mowy o sezonach ożywionych i martwych, o przerwach w pracy, ponieważ sezon martwy panował cały rok, karnawału nie było.

W jak wysokim stopniu odbiły się wypadki wojenne na losie poszczególnych pracowni oświetli kilka cyfr. Pracownia Lucyna zatrudniała przed wojną 120 osób, obecnie 40, Michalina Koch ze 180 pracownic zesłała do 30, Geoblowa z 17 na 8, firma Kowalski zam. 48 zatrudnia 15 osób, f. C. Karska przed wojną 70 osób, teraz 20 i t. p.

Zmieniała się również klientela. I tak p. Goeblova kierowniczka Chrześcijańskiego magazynu taniach okryć damskich, miała przeważnie klientelę z pośród służących, rzemieślniczek lub robotnic, ponieważ magazyn założony był w celu odciążenia tych warstw od handlu żydowskiego. Teraz zaś kupują w magazynie osoby z warstwy wyższej. Jak wszędzie, dokonało się przesunięcie zamożności. Prawdopodobnie niejedna z tych, które zaledwie stać było na artykuły z Chrześcijańskiego magazynu ubiera się dziś w firmach najbardziej eleganckich, a na jej miejsce wchodzi zubożała inteligentka.

Właściciele pracowni konfekcyjnych nie tworzą żadnego stowarzyszenia odrębnego, należąc w części, o ile chodzi o firmy pierwszorządne, do stowarzyszenia kupców. Kobiet do tego stowarzyszenia nie przyjmują.

Zmiany i poprawy stosunków przedsiębiorcy naogół nie przewidują, chyba z ukończeniem wojny i uporządkowaniem stosunków. I wtedy jednakże utrudniać im będzie rozwój zmienione stanowisko robotnic.

Z ośmiogodzinnym dniem pracy przedsiębiorcy konfekcyjni naogół się pogodzili (nie stosują się do niego tylko małe firmy), ponieważ trwa on już od strajku majowego w 1918 r. Natomiast angielska sobota, z którą klientki nie chcą się liczyć, wymagając ukończenia roboty na niedzielę i przychodząc w sobotę aż do wieczora, uważana jest za szkodliwą który usunąć należy. Zamiast angielskiej soboty proponowany jest polski poniedziałek od 12 w południe. D. c. n.

Dr. Zofja Daszyńska-Golińska.

Z POLSKI I ZE ŚWATA.

W Wileńszczyźnie akcja przedwyborcza miała przebieg spokojny. Żydzi zachowali się neutralnie. Białorusini polonofilscy z Aleksiukiem na czele wystawili swoją listę, inni wstrzymali się od głosowania. Nieliczni bardzo Litwini agitowali przeciw wyborom gwałtownie, ale bezskutecznie. Wybory odbyły się 8 stycznia. W chwili gdy piszemy te wyrazy, rezultat jeszcze niewiadomy.

Gen. Niessel, b. szef wojskowej Misji francuskiej w Polsce, zwolniony ze swego stanowiska, opuścił naszą stolicę w d. 30 grudnia ub. roku. Miejsce jego zajął gen. Dupont.

W Poznaniu w rocznicę wypędzenia Niemców d. 27 grudnia ub. roku odbyła się uroczystość, w której wziął udział Naczelnik Państwa.

Sekta religijna t. zw. badaczy pisma świętego powstała w Krakowie i wskutek praktyk niezwykłych (np. gromadny chrzest przez wspólne zanurzenie się w Wiśle lub basenie kąpielowym) weszła w konflikt z policją.

Sejm gdański d. 28 grudnia ub. roku 62 głosami przeciw 22 ratyfikował polsko-gdański układ gospodarczy z d. 24 października.

Wycieczka młodzieży ze szkół wielkopolskich na zaproszenie p. prezydenta Ponikowskiego przybyła do Warszawy d. 5 stycznia.

Partya Niezależnych Socjalistów powstała w Małopolsce i zaczęła wydawać tygodnik p. t. „Głos Niezależnych Socjalistów“.

Konferencja Rady Najwyższej rozpoczęła się w Cannes d. 6 stycznia. Przedstawiono projekt Lloyd Georgea, wedle którego ma powstać międzynarodowe Konsorcjum finansowe w celu odbudowy Rosji. Podobno pewny jest udział w tem Konsorcjum Czechosłowacji, natomiast udział Polski nie jest jeszcze zapewniony. Rząd polski czyni energiczne starania, by sprawy tej nie załatwiono po nad głową Polski, co byłoby połączone z wielką szkodą naszą i z niedopuszczalnym lekceważeniem naszego stanowiska i naszych interesów.

Moratorium dla Niemiec zostało w Cannes w zasadzie uchwalone pod warunkami, które później będą ogłoszone.

Strejk kolejowy wybuchł w Niemczech w ostatnich dniach grudnia ub. roku.

Konflikt dyplomatyczny między Włochami a Jugosławią nastąpił wskutek nieprzyjaznych dla Włoch manifestacji w Sebenico.

Clemenceau powraca do życia politycznego i zaczyna w Paryżu wydawać dziennik „Echo National“, o programie antyniemieckim.

Stany Zjednoczone Indji, wzorowane na Stanach Zjednoczonych Ameryki, uchwały stworzyć muzulmański kongres w Indjach. W metodach walki postanowiono wzorować się na irlandzkim Sinn-Feinie.

Dail-Erzcann irlandzki jeszcze nie ratyfikował ugody z Anglią. Walka jest zacięta. De Valera podobno podał się do dymisji.

Ludność Francji od 1911 r., wedle ostatnich spisów, zmniejszyła się o 2 miliony 104 tysiące 975 osób.

Znany przywódca Hakaty, tj. założyciel t. zw. Ostmarkenvereinu, Tiedemann, zmarł w Berlinie w 79 roku życia.

Po plebiscycie w Szoproniu, ukończonym pomyślnie dla Węgrów, wojska węgierskie natychmiast zajęły miasto d. 31 grudnia. Tak te rzeczy spokojnie, prosto, bez komplikacji i bez przeszkód z niczyjej strony odbywają się... gdzieindziej.

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

ś. p. ZUZANNA MORAWSKA.

W d. 6 b. m. zgąsta w Mławie sędziwa i zasłużona działaczka na polu oświaty i literatury, Zuzanna Morawska.

Ur. w 1848 r. we wsi Sokołowce pod Ciechanowem, całe swe życie poświęciła dostojnie mrówczej pracy nauczania oraz krzewienia uczuć patriotycznych słowem i piórem. W najcięższej dobie szkoły apuchtynowskiej umiała, z cichem bohaterstwem łącząc słodycz i pogodę, pod niewinną nazwą „Szkoły rzemiosł” prowadzić pensję ukrytą, gdzie szereg najwybitniejszych umysłów swego czasu wykształcił cały zastęp polek, snujących dziś w barwnej tkaninie życia narodowego złotą nić pięknych tradycji swej duchowej przewodniczki.

„Przyjaciel Dzieci”, „Wieczory Rodzinne”, ci niedgdy towarzysze dzieci, anielscy naszego dzieciństwa, mieli w niej współpracowniczkę gorliwą i za serce chwytającą. Któż z nas nie spędził najmilszych godzin świątecznych nad „Giermkim księżęcym” lub „Wilczem Gniazdem”, któż z tych kart nie pił pełną piersią Polski ukochanej, o której w murach szkolnych mówić nie było wolno?

Ich autorka przetrwała wichry i burze, doczekała się spełnienia cudu, i jak kłos dostały spadła na ziemię ojczystą, do ostatniej chwili siejąc w nią ziarna złote ruchem niezmordowanym, błogosławiącym.

S. P. O.

SPROSTOWANIE.

W numerze 1 *Bluszcza* w „Życzeniach noworocznych” wkradła się pomyłka zecerska, a mianowicie w ostatnim zdaniu zamiast „i znajdzie oddźwięk w sferach tych”, powinno być: „i znajdzie oddźwięk w sercach tych”, co niniejszem prostujemy.

Z PRASY.

Nowe czasopismo nauczycielskie. Brak czasopisma zawodowego, przeznaczonego dla najszerszych warstw nauczycielstwa, przytem apolitycznego i niezależnego, odczuwać się daje dotkliwie na ziemiach zachodnich Rzeczypospolitej Polskiej. Aby wypełnić tę lukę, poczynnie wychodzi w Poznaniu z początkiem roku przyszłego dwutygodnik „Przyjaciel Szkolny”. Będzie to wydawnictwo zupełnie niezależne, nie będące organem żadnej organizacji, która to okoliczność sprzyjać będzie swobodnemu wypowiedzaniu na jego łamach wszelkich myśli związanych z kulturalno-oświatową działalnością nauczycielstwa polskiego, „Przyjaciel Szkolny”, nie zaniedbując spraw ogólnozawodowych, maximum uwagi kłaść będzie na sprawy obchodzące szkolnictwo i rzeszę nauczycielską ziem zachodnich, a więc województwa Poznańskiego, Pomorskiego i Śląskiego. Na treść składać się będą rozprawy z dziedziny wychowania i nauczania szkolnego, artykuły ogólnonaukowe, wskazówki praktyczne, lekcje wzorowe, dalej notatki z życia organizacyjnego, wreszcie sprawozdania i oceny książek, czasopism itp. „Przyjaciel Szkolny” ukazywać się będzie regularnie z początkiem i w połowie każdego miesiąca objętości 16-tu stron, formatu dużej 8-ki. Pomimo wysokich kosztów wydawniczych, cenę prenumeracyjną ustalono w niewielkiej kwocie 180 marek polskich kwartalnie, uprzedzając „Przyjaciela Szkolnego” najmniej nawet zasobnym sferom nauczycielskim. Do czasu ukonstytuowania się komitetu redakcyjnego, czasopismo podpisywać będzie p. Leonard Borkowski. Redakcja mieści się w Poznaniu przy ulicy Różanej Nr. 4a i przyjmuje już przedpłatę na „Przyjaciela Szkolnego” do chwili zorganizowania prenumeraty za pośrednictwem poczty (Nr. konta w Pocztovej Kasie Oszczędności Poznań 202 920).

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI.

P. Annie. Maska dr. Séguinaud kosztuje Mk. 5.000 prenumeratorkom „Bluszcza” p. W. Klimecki, Warszawa, Niecała 5 udziela jednak ustępstwa.

Pp. Zofji Gaczyńskiej w Garwolinie, M. Mazurkiewicz w Zamościu, St. Milanowskiej w Warężu, Z. Supińskiej w Borystawiu, Wandzie Krupińskiej w Tarnowie, Marji Kamińskiej w Łucku.

Możemy zapewnić Szanowne Czytelniczki ze w najbliższych tygodniach „Bluszcza” będzie mógł do wszystkich rycin, pomieszczonych w dodatku mód dostarczać formy bibułkowe i wzory i dokładnie i szybko obsługiwać swoje Czytelniczki. Ceny form i wzorów zależne będą od wielkości, — wysyłać je będziemy za zaliczeniem pocztowym.

Stalej Prenumeratorec. Koldryny, o których wspomina w artykule swym w Nr. 10 „Bluszcza” z r. z. p. W. Bunikiewicz są to wyciskanki na drzewie, robione podobną metodą jak drzeworyty. Koldryniarstwo kwitnęło w dawnej Polsce, a ściany wielu dworów i kościołów pokrywane bywały koldrynami.

TREŚĆ № 3-go.

Warszawa-Wilno. — Pani de Valera — przez dr. Irenę Pannenkową. * * * — przez M. Wojciechowską. Stroje pań polskich — przez Z. Rabską. Hygiena dziecka — przez dr. Matyldę Biehlerową. Z książki o przyjaciółach. Owce — przez Marję-Jehanę hr. Wielopolską. Z Petronjusza, Do kochanki — przełożył Julian Ejsmond. Przemysłny Porportuk — przez Jacka Londona. W połodze Europy — przez Jadwigę Marciniowską. Krawczyńnię i szwaczki chrześcijańskie w Warszawie (ankieta) — przez Z. Daszyńską-Golińską. — Z Polski i ze Świata. — Kronika działalności kobiecej. — Sprostowanie. — Z prasy. — Odpowiedzi redakcji. — Dodatek artystyczny. — Dodatek powieściowy p. t. „Confitou” — przez Gastona Leroua, tłumacz. — przez Z. M. W. (ark. 9-ty).

Zarząd Główny Koła Polek zawiadamia że trzy ostatnie cyfry miljonówki wylosowanej d. 7/1 1922 r. wygrywają złoty zegarek z łańcuszkiem.

„PŁOMYK”

dwutygodnik dla dzieci i młodzieży pod redakcją Heleny Radwanowej rozpoczął szósty rok wydawnictwa.

Pismo wydawane jest staraniem Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych.
Redakcja i administracja — Warszawa, ul. Marszałkowska № 123.
Prenumerata kwartalna 200 mk.

Dla nowych prenumeratorów są do nabycia komplety „Bluszcza” od Nr 1 do Nr 11, w cenie 1500 mrkp.

Prosimy o szybkie uregulowanie rachunków za prenumeratę.

ŻĄDAJCIE WSZĘDZIE „BLUSZCZU”.

OD WYDAWNICTWA

Prenumerata „Bluszcza”

miesięcznie - - - - - Mk. 600.—
z odnośnieniem do domu, lub przesyłką pocztową.

Zagranicą miesięcznie Mk. 2000.— Cena numeru pojedynczego Mk. 175.—
Wszystkich P. P. prenumeratorów prosimy o szybkie nadsyłanie prenumeraty i wyrównania.

REDAKCJA: Nowy-Świat 41. *ew* Telefon 105-22.

ADMINISTRACJA: Pałac Staszycy Nowy-Świat 72, Koło Polek tel. 239-40.

CENY OGŁOSZEŃ.

1 str. — 1 wiersz nonp.	500 mk.
1/2 str.	75.000 "
w tekście — cała str.	150.000 "
1 wiersz nonp.	400 "
ostatnia strona — 1 wiersz nonp.	250 "
1/2 str.	45.000 "
cała "	90.000 "

Firmy zgłaszające ogłoszenia wprost do administracji oraz na kilka razy uzyskują 25% rabatu.

Miejsce 2 wierszowe w „Przewodniku handlowym”, — 1.000 mk. jednorazowo.

OGŁOSZENIA przyjmują prócz administracji „Bluszcza”: Tow. Akc. „Reklama Polska”, Warszawa, Jasna 10, Biuro Ogłoszeń T. Pietraszek — Marszałkowska 115, L. i E. Metzl i Sp. — Marszałkowska 130, Biuro Dzienników S. Ungra — Senatorska 12, Polsko-Ameryk. Tow. „Nowa Reklama”, Długa 9 i I. Buchweitz — Marszałkowska 120.